

Karol Móravski

Balista i cembrowina

Niepodległość i Pamięć 13/1 (22), 241-243

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Karol Móravski

Warszawa

Balista i cembrowina

37 dni Powstania Warszawskiego przeżyłem w piwnicy jednego z domów na Powiślu. Po kolejnej eksmisji dokonanej przez Niemców jeszcze w 1943 roku, zostaliśmy zakwaterowani w 2 pokojach, dużego, bo pięciopokojowego mieszkania, w domu spółdzielni bankowców przy ul. Czerwonego Krzyża 21/23 (obecnie ul. Jaracza 4). Ładny architektonicznie budynek, ukształtowany na planie podkowy, posiada otwarty ku ulicy obszerny dziedziniec, odgradzony kratą oraz dwa boczne podwórka, zwane kuchennymi, mieszczące pojemniki na śmieci, trzepaki do dywanów itp.

Wybuch walk powstańczych 1 sierpnia sprowadził niemal wszystkich mieszkańców do podziemi. Całe życie skoncentrowało się teraz w piwnicach i korytarzach, wyposażonych na szczęście w sanitariaty i ujęcia wody pitnej. Mieszkańcy parterowych mieszkań, których okna wychodziły na boczne podwórka osłonięte przed ostrzałem, udostępniali swe kuchnie na potrzeby gotujących podżywienie.

Pierwsze godziny nie były optymistyczne, a budynek został niejako odcięty od reszty opanowanego przez powstańców Powiśla. Znajdująca się na Wybrzeżu Kościuszkowskim, u wylotu ulicy Czerwonego Krzyża, na terenie dawnego Ogródka Jordano-wskiego, formacja tzw. Flakartillerie chroniącej mosty przez Wisłę, prowadziła silny ostrzał wzdłuż ulicy Czerwonego Krzyża. Naprzeciw wznosił się gmach Teatru Ateneum, zajętego w dniach okupacji przez Niemców na „Kleines Theater Warschau”, który znajdował się na ziemi niczyjej. W przerwie między budynkiem teatru, a następnymi zabudowaniami południowej strony ulicy, pusta parcela umożliwiała ostrzał naszego domu przez jeżdżący nasypem kolejowej linii średnicowej pociąg pancerny. Obok, od zachodu znajdowały się garaże Organizacji Todta, zaś od wschodu wznosił się masywny dom mieszkalny przy ul. Czerwonego Krzyża 25. Zaraz też wieczorem 1 sierpnia został on podpalony pociskami zapalającymi przez przeciwlotników z pozycji na Wybrzeżu. Próba gaszenia pożaru i napływ uciekinierów pogorszyły i tak niepewne nastroje. Doświadczenia września 1939 roku, lata okupacji i świadomość ofiar związanych z walką budziły lęk i niepokój. Miałem wtedy 9 lat i ten nastrój lęku i powagi chwili nie był mi obcy.

Późnym wieczorem pierwszego dnia walki udało się nawiązać łączność z opanowaną przez powstańców ulicą Smulikowskiego i z placówkami w gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego. W naszych piwnicach pojawili się chłopcy z biało-czerwonymi opaskami – żołnierze. Oprócz obaw i lęku pojawiła się nadzieja na sukces i duma z podjętej walki.

Szczątkowe formy obrony przeciwpożarowej, łączności i informacji zaczęły działać niemal następnego dnia. Młodzi mężczyźni i kobiety z naszego domu, nie mający do-

tańd związku z konspiracją, zgłaszali się na ochotnika do walki i służby sanitarnej, starsi organizowali życie na miejscu. Pojawiła się prasa, z magazynu na Tamce docierała kasza, mleko w proszku dla dzieci i odżywka tapioka. Wieczorami, jak pierwotni chrześcijanie w katakumbach, zbieraliśmy się na modlitwę, którą prowadziła siwowłosa pani Wyleżyńska.

Ponieważ aktualnie dostępne przejście na plac przy zakręcie ulicy Smulikowskiego znajdowało się pod ostrzałem z Wybrzeża Kościuszkowskiego, panowie z obrony przeciwpożarowej przez kilka dni kuli nowe wyjście w metrowej grubości murze prowadzącym bezpośrednio z piwnicy na podwórko budynku ówczesnej Ubezpieczalni Społecznej, w którym po wojnie przez lata całe mieściła się oficyna „Naszej Księgarni”.

W sytuacji gdy Niemcy przeciwlotnicy trzymali w szachu zarówno ulicę Czerwonego Krzyża od Wybrzeża aż do Solca, ostrzeliwali wypalone mury domu przy Czerwonego Krzyża 25, prześwit między ruinami a budynkiem ZNP sięgając w głąb ul. Smulikowskiego, a także sam Dom Nauczyciela, podejmowano liczne starania o zneutralizowanie tej wrażej placówki. Niestety, dobre uzbrojenie i zaopatrzenie zapewnione drogą kolejową sprawiały, iż Niemcy nie zamierzali wycofać się, a działka przeciwlotnicze ustawili do strzelania na wprost.

Brak ciężkiej broni, przy niedostatku amunicji do zrzutowego „Piata”, pobudził inwencję domorosłych konstruktorów z naszego domu. Rada w radę, w porozumieniu z placówką powstańczą w ZNP, postanowiono skonstruować wyrzutnię butelek zapalających. W założeniach konstruktorów winna ona miotać butelki wypełnione benzyną na odległość kilkudziesięciu metrów.

Na jednym więc z bocznych podwórek, tym od zachodu, powstał ad hoc warsztat „rusznikarski”. Pojawiły się deski, belki, resory samochodowe ze znajdującego się obok garażu, wreszcie grube sznury i stalowe linki. Zgodnie z możliwościami technicznymi zaprojektowano antyczną niemal balistę. Pamięć zawodna już dziś przywraca do świadomości jedno tylko nazwisko, inżyniera Cyngota z niewielkimi wąsikami.

Z długich masywnych desek wyheblowanych starannie zbito długie na 2,5-3 metrów koryto otwarte z jednej strony, wsparte u wylotu na specjalnym koziołku. Wewnątrz umieszczono pojemnik w formie otwartej z jednej strony szufladki o gładko wyheblowanych bokach. W szufladce tej umieszczano butelkę o półlitrowej jeśli dobrze pamiętam pojemności. Do tej długiej rynny-lufy w miejscu mocowania podpórki przytwierdzono w poprzek masywny samochodowy resor piórowy wygięty w stronę wylotu. Od ramion resoru masywne sznury wiodły do specjalnego trzpienia umocowanego na szufladce-pojemniku. Odciągnięcie do tyłu szufladki powodowało naciągnięcie resoru, a jej zwolnienie przesunęło pojemnik z butelką do wylotu rynny i wyrzucenie butelki.

Takie były założenia. W toku prób okazało się konieczne założenie specjalnej linki stalowej i korby, jak w kuszy, by doprowadzić do ugięcia resoru, a zarówno rynnę jak i szufladkę smarowano mydłem i świecą, by zyskać niczym nie hamowany poślizg i wyrzut pełnej płynu butelki. Mimo usilnych starań próbna butelka z wodą lądowała jednak stale zbyt blisko. Dalsze udoskonalenia, poprawki kąta nachylenia, oddawanie lub dodawanie piór resora nie przynosiło spodziewanych rezultatów. Zapraszani na kolejne próby dowódcy powstańczy z rejonu domagali się większych odległości. Kilkaście metrów było zbyt małe w stosunku do potrzeb. Niestety, narastający od pierwszych dni września nacisk wroga na Powiśle rychło przerwał dalsze prace, nie rokujące jak się wydaje, mimo starań i nakładu pracy, pozytywnych rezultatów. Nieustają-

cy ostrzał, brak światła, wody, podjęta ewakuacja kolejnych formacji powstańczych zmieniły całkowicie sytuację.

Jeszcze tylko wcześniej, kiedy ostrzał jedynej dostępnej studni artezyjskiej na zakolu ulicy Smulikowskiego, przy tzw. czerwonym domu, zagrażać zaczął brakiem wody, ci sami mieszkańcy podjęli równocześnie prace przy kopaniu studni na podwóreczku. Przez kilka dni wykopano kilkumetrową studnię, przygotowano też drewnianą cembrowinę, by ochronić wykop przed osuwaniem się ziemi. Wreszcie pojawiła się woda. Ale niestety, mimo pobliskiego brzegu wiślanego, to co pojawiło się na dnie wykopu nie nadawało się do użytku. Woda miała brązowo-fioletowe zabarwienie i duże ślady osadu. I wtedy, kiedy próbowano studnię jeszcze pogłębić, by uzyskać zdatną do użytku wodę, upadło Powiśle. 6 września 1944 roku zostaliśmy wyprowadzeni z budynku i skrajem brzegu wiślanego, ulicą Bednarską, Krakowskim Przedmieściem, Trębacką, Wierzbową, Senatorską, przez plac Mirowski, Chłodną, Wolską dotarliśmy do kościoła św. Wojciecha, a potem do Pruszkowa i dalej na tułaczkę. Ja z rodzicami znaleźliśmy się pod Sochaczewem, siostra zaś jako młoda osoba została wywieziona na roboty do Niemiec.

Wspominam ten epizod powstańczy dla potwierdzenia wyjątkowej ofiarności wszystkich mieszkańców Warszawy, sprawnej działalności służb cywilnych i ogromnej inwencji warszawiaków w dziele wspomagania działań powstańczych. I choć ta balista antyczna nigdy nie wyrzuciła butelki zapalającej na wroga, a studnia nie dała ani jednego wiadra wody, to z pewnością warte są skwitowania tym wspomnieniem.

Kiedy po powrocie do Warszawy w lutym czy marcu 1945 roku zaszliśmy do dawnego mieszkania, by odnaleźć choć resztki dobytku, przewrócona wyrzutnia i przechylona na bok cembrowina nieukończonych studni przypominały wydarzenia sprzed kilku miesięcy.